

WIKTOR TOMASZ GRUDZIĘ ur. 1962; Lublin



Tytuł fragmentu relacji	Inne określenie na skrzynkę to melina
Zakres terytorialny i czasowy	Lublin; po 1944 roku
Słowa kluczowe	ułatki, opozycja, bibuła, wolne słowo, drugi obieg

Inne określenie na skrzynkę to melina

Skrzynka jest to lokal, do którego można się było w jakiś sposób dostać i wrzucić określoną ilość zamówionej bibuły czy książek. Skrzynka kontaktowa, czyli krótko mówiąc miejsce, w którym miałem się z kimś spotkać, przekazać to, odebrać, co miałem do odebrania, czy to były pieniądze, czy materiały wymienione, czy teksty. Inne określenie na skrzynkę to właśnie melina.

W początkowym okresie stanu wojennego atmosfera społeczna była nader gorąca, poczucie krzywdy, że odebrano ludziom coś ważnego, było tak silne, że można było łatwo podzielić ludzi na tych „swoich” i „ich.” Swoi to byli ci, którzy w jakiś sposób przeciwstawiali się władzy, jakoś się buntowali. W tamtym czasie było to dosyć powszechne. Potem następuje powolna redukcja. Także wtedy bardzo łatwo zawierało się znajomości i grupowało się tych ludzi podobnie myślących. Wystarczyło jedno polecenie od znajomego i człowiek ufał komuś bez zastrzeżeń. I tak powstawały skrzynki. Oczywiście były te dylematy, czy to robić, czy nie. Wobec groźby aresztowania, odsiadki. Ale w tym okresie początkowym, kiedy nawiązały się te wszystkie znajomości, kontakty, powszechny był jeszcze zapał. Wtedy pracowało się zdecydowanie lepiej i łatwiej pomimo większej kontroli policyjnej. Stan wojenny pociągał za sobą różne ograniczenia ze strony władzy, ale w miarę, jak ograniczenia znikaly, to znikał i zapał w ludziach do działalności opozycyjnej. Po prostu zaczęli odchodzić.

Już w połowie lat osiemdziesiątych zaczęło się robić dosyć smutno, bo wielu znajomych rezygnowało, kończyło studia, wyjeżdżało. Kontakty z czasem zamierały. Następowala tak zwana normalizacja. Najsmutniejszy były te lata osiemdziesiąt pięć i osiemdziesiąt sześć. Dopiero po osiemdziesiątym siódmym roku zaczynamy znowu mieć coraz to nowych ludzi. Już nie kisimy się w tym samym środowisku, tylko zaczynają się pokazywać nowe twarze, byli to młodszy koledzy, którzy wtedy dokooptowali.

Jeśli chodzi o sposób dostarczania książek do skrzynek, to duży problem stanowił najzwyczajniej transport. Jak Rumcajs do mnie raz przyjechał, na przykład i przywiózł takie dwa-trzy nesesery z książkami, to pobiegłem do tego jego wartburga i próbowałem pomóc mu nosić. Już samo to było niezłym wysiłkiem. Tym bardziej, że on do wielkoludów nie należy. To były spore ilości, a papier lekki nie jest. Wiesio Haley uszył sobie piękny worek, taki żeglarski, z materiału

skóropodobnego. Mógł do niego władować kilkanaście ryz. I on to nosił! I to jakoś tak z wdziękiem. Bezustannie mieliśmy urwane w torbach uchwyty. Pod koniec lat osiemdziesiątych czy na początku dziewięćdziesiątych nie miałem się kompletnie w co zapakować. Plecak porwany, stelaż wyłaził z uchwytów, bo już tak dostał za swoje, a wszystkie torby miały literalnie poobrywane uszy. No bo trochę to ważyło. A trzeba było nosić w jedną stronę książki, w drugą stronę łąpało się papier. Czasami z upodobaniem korzystałem z taksówek. Czasami był zwrot kosztów, czasami nie. Zwykle nie. Ale jakoś tak w tym początkowym okresie w ogóle się o tym nie myślało. Koledzy wozili to autobusami, MPK, PKS-em, te wieczne plecaki, wyładowane tak dziwnie w sposób kwadratowy, które się upychało po bokach jakimiś gazetami, żeby wyglądały mniej ciekawie. No bo ten format książki jednak dosyć widać przez materiał torby czy plecaka. Bywały kontrole w pociągach, ale mimo wszystko jakoś to istniało, kręciło się. Bywały od czasu do czasu jakieś wpadki, ale nigdy w zastraszający sposób. I nie miało to większego wpływu na naszą działalność, polegającą na tym, żeby wyedukować to nasze kochane społeczeństwo przed odzyskaniem niepodległości.

Każda skrzynka miała swoich następnych odbiorców po kilkadziesiąt sztuk. Następnie ludzie brali po kilka egzemplarzy i tak dalej. Zastanawialiśmy się czasami, o kim można już powiedzieć, że jest w jakiejś strukturze podziemia. Od czego to się zaczyna. Czy człowiek, który rozprawdza 10 egzemplarzy, już jest w strukturze, czy jeszcze nie. Doszliśmy do wniosku, że te 10 to jest właśnie minimum. Także z tych czterystu "Informatorów", które otrzymywałem to różnie ludzie brali. Od pięćdziesięciu do stu osiemdziesięciu egzemplarzy. Ci, co brali 180, oczywiście sami tego też nie rozdali, tylko dawali dalej. Następny brał 70, kolejny brał 30 i tak dalej. Więc jeżeli ode mnie odbierało 5-6 osób, to od każdej z nich następne 4-5. I tak to schodziło coraz niżej. Potem ktoś brał 10 no i rozdawał po pokojach, czy to na uczelni, czy u siebie w pracy. No i ci właściwie mieli najgorszą pracę, ponieważ najłatwiej było ich namierzyć. Bo ci właśnie detaliści chyba najwięcej mieli nieprzyjemności. Chociaż i wielcy hurtownicy, jak na przykład pan Wasilewski. Ci z kolei mieli trudności w ukryciu tych wielkich ilości, które przewozili. Oni już nie mogli się wytłumaczyć, że znaleźli w toalecie i idą odnieść czy to na milicję, czy do POP-u, jak zawsze tłumaczył się ktoś przyłapany z kilkoma egzemplarzami.

Siłą przekazu "Informatora" była tym większa, że ludzie bali się trzymać nielegalną prasę w domu i przekazywali dalej do czytania. W ten sposób jeden egzemplarz mógł dotrzeć do większej ilości osób. A nakład na początku był półtora tysiąca. Potem znacznie większy trzy do czterech tysięcy. W kolportażu jak już wspominałem nie miałem tylko "Informatora". Poza tym jeszcze Tygodnik Mazowsze, czasami Tygodnik Wojenny, ale rzadko. "Grot" świdnicki. Była taka efemeryda, jak Biuletyn Regionu Środkowowschodniego, taki konkurencyjny, zresztą drukowany chyba też przez pana Jana; "Solidarność" Nauczycielską. Nie wiem, po co to było stworzone. . Był jeszcze Kolejarz, którego robił Arek Kutkowski na spółkę z bardzo fajnymi kolejarzami. Również sporo bibuły przychodziło z zewnątrz, zwłaszcza z Warszawy. Masę kwartalników, miesięczników, jak "Puls", "Głos", "Obecność" i tak dalej. To wszystko miało swoje krajowe wydania. Już nie pamiętam tych wszystkich tytułów. Około dziesięciu różnego typu periodyków, które w jakiś sposób przechodziły przez kolportaż "Informatora" Regionu Środkowowschodniego. Była jeszcze oczywiście Biblioteczka "Informatora", "Miesięcznik", no i książki. Przychodziły całymi transportami, a to z Krakowa, a to z Wrocławia, z Warszawy. Mało z Gdańska.

Fakt istnienia równocześnie "Informatora" Regionu Środkowowschodniego i Biuletynu Informacyjnego (które były kolportowane razem) można przypuszczalnie wytłumaczyć tym, że "Informator" powstał wcześniej niż zaistniały jakieś struktury podziemne w Regionie. Bo najpierw był "Informator", a potem były struktury. Myślę, że chcieli mieć własny organ w jakiś sposób. W

osiemdziesiątym drugim roku, jak byłem jeszcze w początkowym okresie, istniała jeszcze druga maszyna w "Informatorze" oprócz Cyklosa pana Jana, też Cyklos. To był tak zwany Informator B, którym zarządzała Asia Borys, Grzegorz Linkowski i Daniel Siusta. Oni równocześnie drukowali "Informator". Ale ta inicjatywa szybko zgasła. Potem już prymat "Informatora" jest niekwestionowany i do końca nic się nie zmieniło. Przede wszystkim dzięki energii pana Jana Magierskiego.

Data i miejsce nagrania	2006-09-07, Lublin
Rozmawiał/a	Wioletta Wejman
Transkrypcja	Magdalena Nowosad
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"